

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 9 sierpnia 1845.

Rok szósty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

## M O D Y.

Paryż, dnia 22 lipca 1845.

**Stroje damskie.** Najświeższym oraz najwygodniejszym strojem wiejskim dla młodych osób jest suknia w kształcie podwłośnika, z białego lub kolorowego muszlinu, z stanikiem mocno kończastym, z rękawami znacznie szerszemi u dołu niż u góry; spodnica u tej sukni gładka, szeroką tylko obszyta falbaną. Stanik opasany wstążką stosownego do sukni koloru; chcąc uzupełnić ten strój, dodamy jeszcze że ubranie głowy z samych tylko włosów składać się powinno, a kapelusz słomkowy wstążkami ubrany.

Strój od przechadzki u wód stanowi: suknia z materii koloru zielonego, u której stanik gładki z wyłogami, i zapinany u dołu na guziki; rękawy półdługie, rozcięte przez całą swą długość. Spodnica obszyta dwiema szerokimi falbanami; szarfa z chińskiej kłopy na obydwie strony haftowana.

Niemniej modną jest także suknia, sposobem amazonki krajana; z stanikiem mocno kończastym, w górze w kształcie serca wykrojonym, z podwójnym wyłogiem; rękawy półdługie zpod których drugie muszlinowe widzieć się dają. Na spodnicy dwie szerokie falbany, dużo jedna od drugiej odstąpiona. Kapotka krepowa polnemi ubrana kwiatami, i korunkowy kołnierzyk strój uzupełniają.

Niemożemy niewspomnieć jeszcze o jednym stroju, który bogactwem i dobrym gustem nas zachwycał, strój ten składał się: z sukni z włoskiej materii błękitnego koloru, obszytej w dole trzema korunkowemi falbanami, koloru czarnego ze stanikiem gładkim, wysoko zachodzącym w ramionach a mocno wyciętym przodu, i z szerokimi wyłogami; rękawy gładkie. Do tej sukni biały krepowy kapelusz z długim piórem, i czarny korunkowy rańtuch.

Ponieważ kapelusze stanowią główną część stroju, to też eleganki nasze starają się aby mieć zawsze najświeższe w tym rodzaju utwory. Kapelusze ryżowe tak zwane *Pamela*, ubierane kwiatami, drobnemi piórami i różami ze wstążek, także kapotki tiulowe, krepowe lub z lekkiej jakiej materii są najchętniej noszone. Wypada tu także wspomnieć iż czepeczki mniej są temi czasy używane; ich miejsce zajęły małe, lekkie zawoje które zawsze są oznaką wytworności i dobrego gustu.

**Stroje męskie.** W strojach męskich zaszła tak mała różnica, iż gdybyśmy chcieli opisać nowości, powtórzylibyśmy to, co w ostatnim podaliśmy numerze, wstrzymamy się więc tą razą od opisów, w nadziei iż w następnym numerze więcej nowości udzielić będziemy mogli.

Rycina przedstawia: suknię bareżową z podwójną spodnicą, szlarkami z tej samej materii obszytą, stanik półwysoki do pasa na krzyż drapowany, rękawy sznurowane z pod których białe widzieć się dają, kapelusz krepowy. Druga suknia materialna w kraty po której mantyla z tarlatanu, merseliną różową podszyta, i korunkami garnirowana, kapotka jedwabna tiulem ozdobiona. Trzeci szlafroczek jedwabny na dole trzy razy korunką obszyty, stanik w przodzie otwarty do półkoszulka, kapelusz ryżowy kwiatami ubrany. Tudzież surdut z długim stanem, i frak od przechadzki o jednym rzędzie guzików.

## Dwa obrazy z życia.

przez

Innocentę z P\* P\*.

„On mię nienawidzieć, on mną pogardzać będzie babuniu» mówiła Amelia wsparłszy swą młodą czarnemi [uploty ozdobioną głowę na zgrzybiałym ręku swej



siedmudziesięcioletniej babki; »ach tak, on musi, on powinien mną gardzić,« i widno było że to mówiła z serca bo łza zabłysła w jej oku, bo krwią nabrzękły żyłki pod jej oczyma, bo twarz cała szkarłatnym rozpałała rumieńcem aż zdrzały loki jej jasną skroń zdobiące, zabrakło jej słów, oddechu prawie. — »Kto tobą może gardzić? nie moje dziecko, ja ciebie nierozumiem;« »Ktoż inny jak Henryk, Henryk którego kochałam, a którego...« »widząc nieprzezwyjężone przeszkody musiałaś, i powinnaś była zapomnieć...« »i zapomniałam... a dzisiaj... Kocham Alfreda. « I coż w tem dziwnego moje dziecię; Alfred wart kochania i Alfred wkrótce zostanie twym mężem. — »Ach babuniu ktoż bardziej nademnie ceni wszystkie Alfreda przymioty! ależ Henryk, Henryk, zatrulałam mu całe życie, pozbawiłam wszystkich nadziei szczęścia, ja go zabiłam moralnie, ach to zbrodnia, wielka zbrodnia; on nigdy szczęśliwym nigdy spokojnym nie będzie, a mnie zabije zgryzota sumienia.« — »Nie moje dziecię, ciebie zabiją wygórowane wyobrażenia twoje, to co wy exaltacją nazywacie, bodajby się niespełniły przeczucia moje, ale ja bardzo lękam się o ciebie... a Henryk dobry, szlachetny co się ciebie dla twego własnego zrzekł szczęścia, w własnej czynności znajdzie nagrodę, ulgę swym cierpieniom, a później wierz moim słowom, zapomni i będzie szczęśliwym.« Amelia wstrząsła z niedowierzaniem głową. Babuniu czy ty nigdy niekochała?« uśmiechnęła się starszka. »Ja prawdziwie już niewiem moje dziecię, bo gdy widzę świat terazniejszy, jego enoty, i błędy, i porównywan go do dawnych czasów, do tego co było przed laty, już siebie samej osądzić nie umiem, to co wy dziś nazywacie miłością, szaleństwa wprzód nosiło nazwisko, bezczelnością nazywano to, co wy dziś potrzebną otwartością nazywacie, a na te terazniejsze wasze uniesienia, exaltacie, nie było nawet imienia, nazywano je jeśli się gdzie wydarzyły kaprysami, chimerami, po prostu ich nie rozumiano; ale też za to lepiej było na świecie, nie było wprawdzie tego głośnego szczęścia, ale też i ciejsze były cierpienia, była większa wiara w boga a mniejsze przywiązanie do ziemi, niebyło wielkich enót, poświęceń, ale lepiej drobne wypełniano obowiązki, miło to pa trzeć jak coraz ludzie mądrzejają, ale czy ich ta mądrość uszczęśliwia? Moje dziecię i ja byłam młodą i ja miałam serce nie z kamienia, ale karta moich wspomnień już zbutwiała, trudno zebrać w myśl a niedopiero w słowa to co się działo przed pięćdziesięciu laty, bo choć ci odpowiem na twoje zapytania niezadowolnię ciebie. Cały zaś opis mej młodości, nie jest to żaden z twych romansów francuzkich, nie godny

pióra waszych Balzaków w których boże odpuść tak wiele słów a tak mało rzeczy, cicha była bez przygód młodość moja, ciche życie całe i takim spodziewam się, będzie i koniec którego w krótkce nastąpić musi.« — »Nie mów ach nie mów tego,« przyciskając rękę babuni do ust swych z płaczem mówiła Amelia, »cożby się wtedy ze mną stało!« — »Z tobą moje dziecię? twoja przyszłość gdy zostaniesz żoną Alfreda może być bardzo... bardzo szczęśliwa; jeżeli zaś twoja własna ognista wyobraźnia zaprowadzi cię do zguby, coż ja wtedy pomódz mogę?« — »Nie, nie babuniu ja ci przyrzekam poprawę ratuj mię, strzeż, wspieraj, wzmacniaj, a tym czasem gdyśmy o tym wspomnieli opowiedz mi historię życia twojego, którą mi tak dawno obiecałaś.« — »Historię? bardzo się zadziwisz dziecię moje, ale gdy tak pragniesz więc słuchaj; W ósmym roku życia mego już nie miałam matki, ojciec mój a twój pradziad Amelko było jeden z tych rzadkich charakterów stworzonych do szczęścia i umiejających być szczęśliwymi; otarliśmy lzy po stracie mej matki, chciał jak to mówią używać życia, swobody, bawić się, mnie jedną tylko mając aby nie potrzebywał myśleć o mnie oddał mię do klasztoru sam zaś że był enotliwym i zamożnym łatwo też mu było o przyjaciół, i wesole prowadził życie, a że w czterdziestym roku życia swego drugi raz nie ożenił się, rachuję to zawsze jaką ofiarę dla mnie zrobioną, bo miał dla mnie prawdziwie ojcowskie serce; kilka lat klasztornego życia mego wcale mi przykrego nie zostawiły wrażenia, raz w rok przyjeżdżał mój ojciec, przywoził pieniądze, podarki dla mnie i mych przełożonych, witał mię zawsze jednemi słowy: »jakżeś mi wyrosła moja Hanulko« a ja zaledwo śmiałam pocałować go w rękę ofiarować mu sakiewkę z podstawkę do zegarka, arcydzieło mojej roboty, nigdy nie pytałam jak długo zostaną w klasztorze, myślałam może i wiecznie, bo ojciec milczał, a mnie tam dobrze było. Lecz gdy siedemnasty rok skończyłam i w jednym z pogodnych dni jesiennych najweselej z mojami bawiłam się towarzyszkami, nadszedł koczyk czterokonny a z niego wysiadająca stara sługa zwiastowała mi że trzeba na zawsze porzucać klasztor i powracać do domu; dziwne było wtedy uczucie moje, płakałam, śmiałam się składając skromne sukienki moje, gdy jednak przyszło żegnać się z miejscem gdzieś dziewięć lat strawiła, towarzyszkami, zakonnicami które mię błogosławily, płacz mój się zwiększył, i nie ustawał choć już dawno za murami klasztoru po równym gościńcu toczył się mój powóz.« »Panna będzie szczęśliwa, pójdzie wkrótce za męża, taka piękna, młoda, bogata, jegomość tak pannę o-



czekuje, my się cieszymy że młodą mieć będziemy panię.« — »Te słowa wyrzeczone przez sługę dopiero ocuciły mię trochę i wyrwały z mych klasztornych marzeń; ja piękna, bogata, mam pójść zamaż, były to wyrazy całkiem nowe, niezrozumiane dla mnie wyrazy światowe, uśmiechnęłam się, spojrzalam z niedowiarstwem i wkrótce piękną okolicą zajęta i nie myślałam o tem; nakoniec trzeciego dnia rano, a był to ranek jak dziś pamiętam trochę mglisty jesienny dojeżdżając do domu modliłam się nieustannie i trzęsłam jak we febrze; na dziedzińcu u mego ojca, gwar aż mię zagłuszył, konie, psy, ludzie zwijali się, a mój ojciec z kilku towarzyszami polowania, które nad wszystko lubił, stał na ganku; koło mego ojca najbliżej stał łysy, słuszny mężczyzna, najpierwszy przyjaciel i kolega szkolny mego ojca pan Tomasz.« — »Ach babuniu, ten stary, już truchleję o ciebie, mów dalej.« — »Otoż i moja jedynaczka! zawołał jegomość; a, panna Anna! wykrzyknął pan Tomasz, prosimy o szczęście na polowanie, ja wtedy jeszcze nie rozumiałam tego żartu, ale śmiech powszechny tak mię do reszty znieśmielił że zamiast na stopień stanąć, noga mi się pośliznęła i stanęłam na ziemi.« — »A jak to skacze jak koźlątko« dodał znowu pan Tomasz. — »A co nie smaczny kasek moja dziewczka? rzekł mój ojciec, gdy jej jeszcze dwie wioski przyłożę; bo już to i wtedy lubiono wioski moje dziecię, chociaż takich jak teraz niebyło zbytów i wykwińtów.« »Zasługujecie mi się chłopcy« kończył dalej; pan Tomasz coś mruzczał podkrecając wąsa i poprawiając pasa, a ja stałam jak na zarze. »No no, zdziczała mi tam trochę, idź, idź rozgość się, rozbierz, a pamiętaj żebyśmy wróciwszy z polowania mieli co ciepłego do ziedzenia.« — »Co mi się działo niewiem w tej chwili, w kilku dniach jednak oswoiłam się, nawet i rządzić domem zaczęłam, cieszył mię dom własny, własny pokoiik, cieszyli mię przyjaźni starzy słudzy domu, bałam się tylko ogromnie jegomości chociaż go strasznie kochałam i choć mi złego słowa nie powiedział, śmiałam się szczerze i polubiłam żarty pana Tomasza, którego sam tylko pozostał z moim ojcem. W tydzień po moim przyjeździe, po dobrym obiedzie, i kilku kielichach wina spełnionych z panem Tomaszem, mój ojciec zawołał mię do siebie, »siadaj tu moje dziecko« nie śmiałam usiąść i pocałowałam go w rękę. »Jesteś dobre, potulne dziewczce, mam cię tylko jedną i kocham cię« łyzy zabłysły mu w oczach wyciągnął do mnie rękę, ja ukleknęłam, ucałowałam tę rękę, a za te dwie łyzy byłabym mu oddała dwie przyszłości moje gdybym je była mieć mogła. »To jest pan Tomasz« dalej mówił mój ojciec, »człowiek uczciwy, mój przyjaciel,

mający swoje dobra, chociaż w moim wieku...« »Młodszy panie Andrzeju« odezwał się mileczący dotąd pan Tomasz. »Tak młodszy o siedm tygodni« dodał z uśmiechem mój ojciec, »ale rzeński, zdrów« Tu pan Tomasz spojrział z ukosa w zwierciadło, »prosi o twoją rękę, a ja żyję sobie abyś jeszcze tych zapust została jego żoną.« Zaćmiło mi się trochę w oczach niewiem z podziwienia czy strachu. »Coż ty nato moje dziecię?« »Zostanę« wyrzekłam i wytoczyłam się prawie nie wyszłam z pokoju, słyszałam za sobą tylko słowa mego ojca: »to skarb mieć będziesz i uściski, radość dwóch przyjaciół«; siadłam w moim pokoju i zaczęłam myśleć, myśleć po raz pierwszy w mem życiu prawie, a myśli jak ciekawi do pustego nowo wybudowanego gmachu cisnęły się nawalem do mojej dotąd niezajętej głowy, ale niebyło w nich ładu i porządku, może szczęście że mnie z nich obudziły słowa sługi mojej. Dobrze panna robi, to rozum, wiemy o wszystkim, stary Walenty słyszał co jegomość gadał, to dobrze że panna posłuszna jegomości bo też to pan Tomasz pan bogaty, rozumny, miłosierny dla biednych, mówiła coś dalej jeszcze, ja już nie słyszałam więcej, myśl którą mi podsuwała kręciła się w mem w mojej głowie, myśl że można być nieposłuszną uwolnić się, powiedzieć nie, chciałam się jej uchwycić już, a tym czasem spojrzalam na obraz matki boskiej wiszącej nad mem łóżkiem w której świętym obliczu zawsze zwykła byłam czytać, zdała mi się surową, zachmurzoną, upadłam na kolana modliłam się, plakałam, wyrzekłam się tej myśli jak grzechu, i to mię w ten czas nie kosztowało wiele; resztę dnia byłam już spokojną, i za skarby świata byłabym się nie sprzeciwiła ojcu, w nocy tylko długo zasnąć nie mogłam, zastanawiałam się jaka zmiana w tych dniach kilku zaszła ze mną, zmiana, jakiej podobnej niebyło przez lat kilka w klasztorze, żałowałam za klaszturem, ale czułam żeby mi już niepodobno było wrócić do niego, już całkiem byłam odmienioną. Z panem Tomaszem byłam strasznie nieśmiałą, on też nie naprzykszał mi się, wyjechał urządzać dom, porządkować interesa; ojciec był bardzo kontent ze mnie, kazał mi sutą robić wyprawę, a co więcej kupował mi książki do których wielką miałam ochotę, były między niemi dzieje narodowe, powieści, były i romanse, ale nie takie jak wasze dzisiejsze, ukształciły mię ale nie przewróciły głowy. Ach te to książki zbójceckie! Dobrze to powiedział ten wasz ulubiony terazniejszy poeta, co sam szalejąc czuje przynajmniej że szalony, a wy go nie czujecie; Amelia chciała wykrzyknąć na to bluźnierstwo babki, ale ścięła usta i słuchała dalej; otóż jak mówię miałam książki i te pare miesięcy



mogę powiedzieć że bardzo była szczęśliwą, obeznaną się z sąsiadami co odwiedzali mego ojca, i już niębyłam gąską wcale, słuchałam spokojnie rumieniąc się wprawdzie trochę powinszowań krewnych, przyjaciół, i wcale nie miałam wstrętu do pana Tomasza, słowem już wszystko było dobrze, aż oto na dwa tygodnie przed ślubem to jest przed ostatkami zapust przyjechał pan Tomasz z swoim siostrzeńcem sierotą panem Stanisławem. — »Babuniu przerywam ci, ach ten pan Stanisław pokocha ciebie, ty jego nie prawdziż?« — »I jakże to wiesz moje dziecię?« — »A to naturalnie, tak być musi, nie może być inaczej.« — »Otożto widzisz tę mądrość terazniejszych dziewcząt. Już możeś sobie cały romans w głowie ułożyła. Ja przez dni kilkanaście pod jednym z nim mieszkając dachem niedomyślałam się tego, a ty już wiesz naprzód, ach zgubne, zgubne to terazniejsze wychowanie wasze! Pan Stanisław miał lat dwadzieścia i pięć, był piękny, miał rozum, a dobry niewinny jak dziecko, pan Tomasz kochał też go strasznie, a gdy mi go przedstawiał, mówił, to mój wychowanek, mój syn, moja chluba będzie moim družbą, zdałby się raczej na pana młodego, nieprawda panno Anno?« i śmiał się z serea widząc nas oboje zecerwienionych. Ale nie bój się chłopcze, nie zawadzi ci wujanka, com ci przyrzekł dotrzymam, choćbym nawet miał dzieci to cię część mego majątku nie minie.« — »Ach wuju czy możesz tak myśleć, zapomnij o mnie, bądź tylko szczęśliwy, czyż ja ci mało winienem; i nie mógł dokończyć pan Stanisław, w jego twarzy cała malowała się dusza, i z tym wyrazem który dziś jeszcze widzę przed sobą, spojrzał na mnie jakby prosił o szczęście dla wuja.« — »Mało potem mówiłam z panem Stanisławem, ale lubiłam go słuchać gdy co opowiadał, a była to tak wdzięczna i płynna mowa, taki ton głosu, że przenikał serce, i odbijał się w duszy, a taka obfitość wyrazów, myśli, gdzie to gdzie porównać z terazniejszą waszą młodzieżą. Był tam i drugi jego przyjaciel pan Władysław także młody, także ładny, ale jaka różnica, mądry niby bardzo, ale to ta mądrość sowa co to jej dostrzedz trudno, mało mówił, a co powiedział to tak wysoko od nieba od gwiazd zaczynał że go zrozumieć nie można było, takich dziś jest pełno i wam się to podoba, nazywacie ich marzycielami, romantykami, i za coś wielkiego ich macie, a ja w mojej prostocie nazywałam go zarozumiałym, nierozsądnym, nudziarzem; bo co mi po rozumie co z niego nie ani ludziom ani bogu; o toż przy końcu jakby się pomieniali, pan Władysław się rozruszał a pan Stanisław smutniał, smutniał, aż strach patrzeć było, a do mnie ani słowa.« »Czyż

nie słaby Stasiu« pytał pan Tomasz; »Nie wujaszku.« »Wiejskie powietrze mu nie służy, a przyjechał tu jak róża.« Ja to uważałam i żal mi go było, nieraz myśląc o tem szukając przyczyny całą noc nie spałam, a zasnawszy marzyłam, śniłam tylko o nim, niewiedziałam wtenczas co to było, obraniałam się tej myśli, ale nadchodzący dzień ślubu lękał mię, tworzył, czasem znowu pragnęłam aby już minął, abym związana z panem Tomaszem wieczną przysięgą, o której świętości inne jak wy dzisiaj miałam wyobrażenie, przestała myśleć o panu Stanisławie, zapytać go jednak o przyczynę smutku, nieśmiałam, i za nie w świecie na to odważyłbym się nie była mogła....

*Dokończenie nastąpi.*

## Z melodij hebrajskich

KORNELA UJEJSKIEGO.

### Jubal.

21. Imię zaś brata jego Jubal, ten był ojcem grających na arfach i muzycznym naczyniu.

Genesis Roz. IV.

Potomek Kaina zrodzony na biedę  
Po ziemi wygnania z moją arfą idę,  
I dziecko tutajże ach! nieraz zapłaczę  
Gdy wspomnę na raj nasz, na Eden.

Choć jedzą chleb w znoju synowie Lamecha  
Im w myśli swoboda i w sercu uciecha,  
Choć jedzą chleb w znoju! a ja w niepokoju  
Za wszystkich sam cierpię, ja jeden.

Synowie Lamecha zbytkują nademną;  
Gdy ujrzą twarz moją w noc ciemną i ciemną:  
O arfę oparta, na xiężyc otwartą,  
Jak xiężyc promienną i bladą.

Natenczas pełzając mój namiot podchodzą,  
Mój namiot z gąszi, gdzie pieśni się rodzą,  
I ciężkie swe dtonie jedni mi na skronie  
A drudzy na strumy pokładają.

Choć jednej nawiązać strunę nie umięją  
Synowie Lamecha z mej arfy się śmieją,  
Do jarzma wdrożeni, od boga wzgardzeni,  
O raj ustraconym i nie śnią.

A jabym w ich piersiach zaszczyć chciał bole  
By żywo uczeni swą własną niedolę,  
A potem znużone, te serca skrwawione,  
Cieszyłbym nadzieją i pieśnią.

O! ojciec ja pieśni, gdy siądę na górze  
To orzeł przelotny usiada na chmurze  
I długo mnie słucha nim skrzydła rozrucha  
I dalej z wiatrami poleci.



I nieraz gdy śpiewam to leśni ptakowie  
Bez trwogi siadają na młodej mej głowie,  
A zejdzie li gwiazda to lecą na gniazda  
Wyuczać mej pieśni, swych dzieci.

Synowie Lamecha wżgardzają pieśniami;  
Lecz kiedyś o! kiedyś nadejdą ze łzami,  
Jubała obsiędą i prosić go będą  
O jedną piosenkę, jałmużnę.

A kiedy z tą pieśnią przed Panem upadną,  
To raju stróżowie miecz ognia wykradną,  
Na ziemi wygnania usłyszą wołania:  
»Zwijajcie namioty podróżne!«

## MARCIN CHUZZLEVILT,

Kilka rysów Ameryki i jej mieszkańców

przez

KAROLA DICKENSA.

Ciąg dalszy.

Gdy pułkownik skończył obiad, właśnie wtedy kiedy Marcin podawszy swój talerz z prośbą o kawałek kapłona, miał go rozpocząć; zapytał swojego towarzysza co też sądził o stołownikach tego domu, którzy pochodzili z różnych stron ziednoczonych stanów, i czyliby nie żądał zaznajomić się z którym bliżej.

»Chciej mi oznajmić sir« rzekł Marcin, »kto jest ta biała, maleńka dziewczynka, z ostrem spojrzeniem w okrągłych swych oczkach, nie widzę tu nikogo wyglądającego na jej matkę, lub mającego o niej staranie.«

»Czy chcesz mówić o tej matronie w błękitnej sukni, sir« zapytał pułkownik z niejaką przesadą. »To jest mistriss Jefferson Brick.«

»Nie, nie, ja się pytam o tę maleńką panienkę podobną do lalki, wprost naprzeciwko mnie.«

»No, to dobrze sir« krzychał pułkownik, »to jest mistriss Jefferson Brick jak powiedziałem, matka dwójga już dzieci.«

»Czy podobna!« zawołał Marcin wpatrując się w twarz pułkownika ażali tenże nie żartuje sobie z niego. Lecz pułkownik nie miał wcale miny żartowania.

»Tak, tak jest sir« mówił dalej widząc że Marcin wpatrywał się z zadziwieniem w dziecinne rysy i postać tak zwanej matrony. »Tak jest sir, niektóre instytucje rozwijają wczesnie organizm człowieka, niektóre spóźniają to rozwinięcie.«

Jefferson Brick, dodał po niejakiem przestanku, komplementując swojego korespondenta »jest jednym z najznakomitszych mężów naszej ojczyzny, sir.«

Te słowa wyrzeczone były w cichem szeptaniu, gdyż znakomita persona o której mowa, siedziała tuż obok Marcina po drugiej stronie.

»Za pozwoleniem, panie Brick« rzekł Marcin zwracając się do chwalonego *gentlemana*, aby mu zadać jedno z tych pytań które znajdujemy raczej w chęci zawiązania rozmowy niż z ciekawości, »kto jest ten« chciał już powiedzieć »młody« lecz osądził za rzecz doradną opuścić to słowo; »ten bardzo niski a otyły *gentleman* na przeciwko, z czerwonym nosem.

»To jest professor Mullit; sir.«

»Czy wolno zapytać jakim on jest profesorem?«

»Profesorem edukacji sir« odrzekł obojętnie pan Jefferson Brick.«

»Zapewne dyrektor szkoły« odważył się uczynić uwagę Marcina.

»Jest to mąż surowych moralnych zasad sir« czystych obyczajów i niepospolitych zdolności« mówił korespondent wojny. »Przy ostatniej elekcii prezydenta, osądził on za powinność swoją denonciować i zaprzecić się własnego swega łojca, który wotował dla złej sprawy. W tymże czasie napisał kilka potężnych pamfletów z podpisem »Suturb« co jest przeciwronem imieniem Brutus. Jest to jeden z najznakomitszych mężów naszej ojczyzny sir.«

»Jak widzę tu pełno tych znakomitych mężów« pomyślał Marcin, »i na każdą cenę.«

Prowadząc dalej badania swoje, Marcin dowiedział się iż w obecnym zgromadzeniu było ni mniej ni więcej jak czterech majorów, dwóch pułkowników, jeden generał i trzech kapitanów, tak iż Marcin nie mógł się powstrzymać od pomyslenia sobie w duchu, jaki też to bogaty był zapas oficerów w wojsku unii, i zdziwiony łamał sobie głowę nad odgadnieniem komu też ci oficerowie dowodzili czy jeden drugiemu? lub jeżeli tak nie było, z kąd też się brali prości żołnierze i gdzie się podziewali. Tu zdawało się iż niemasz żadnego człowieka bez tytułu, gdyż ci którzy nie posiadali stopni wojskowych, byli albo doktorowie, profesorowie lub księża. Trzech *gentlemanów* rysów odrażających i surowych, przybywało w poselstwie z sąsiednich stanów; jeden w interesie pieniężnym, drugi w politycznym, trzeci w sektarskim. Pomiędzy damami wodziła rej mistris Pawkins, sztywna, koścista i milcząca; jako też żółtawej cery, słodko-kwaskowatej miny stara panna, która śmiało i głośno stawiała w obronie praw płci swojej i w słowach i w pismach: lecz reszta dam była zupełnie ogołoconą z wszelkiej osobistości charakteru, tak dalece, że gdyby która z nich zamieniła duszę swoją z drugą, niktby tej zamiany nie dostrzegł. Te przynajmniej nie li-



czyli się do rzędu najznakomitszych w swojej ojczyźnie.

Wielu z *gentlemanów* wstawalo od stołu i odchodziło jeden po drugim, przelknawszy ostatni kasek; na chwilę każdy zatrzymywał się przed piecykiem i składał swoją dań do spluwaczki. Kilku tylko spokojniejszych czy leniwszych, pozostało jeszcze kilka minut dłużej przy stole, dopóki damy nie powstały, a wtedy wszyscy ruszyli z miejsca.

»Dokąd oni idą?« poszepnął Marcin do ucha pana Jefferson Brick.

»Do sypialnych pokoi sir!«

»Czyli tu niema w zwyczaju zastawiać wety, lub w innym sposobie zabawiać się trochę rozmową po obiedzie?« zapytał Marcin, który radby był nieco wypocząć po trudzącej podróży.

»My jesteśmy ludem zatrudnionym sir, i nie mamy czasu na to« była odpowiedź.

Tak tedy panie wyszły z jadalnej sali sznurkiem jedna za drugą; pan Jefferson Brick i drudzy żonaci *gentlemanowie* którzy byli pozostali, lekkim skinieniem głowy żegnali swoje odchodzące połowice i na tem się skończyło. Marcin pomyślał sobie że to zwyczaj bardzo nieznośny i niewygodny, lecz na ten raz schował dla siebie swoją opinię, pragnął Marcin oświecić się jako cudzoziemiec i zkorzystać coś z rozmowy zatrudnionych *gentlemanów*, którzy teraz obiadli kółko przed piecykiem, kołysali się w krzesłach z tak głębokiem zajęciem jak gdyby spluwaczka i piórko do zębów dopomóż im miały do ulżenia ogromnego ciężaru ich myśli.

Lecz bohater nasz zawiedziony został w oczekiwaniach swoich, bo rozmowa tych panów wcale nie była interesującą, jeżeli mamy wyznać prawdę; główna jej treść i przedmiot dałyby się zamknąć w jedno słowo, talary. Wszystkie ich starania, nadzieje, smutki, radość, enoty, stowarzyszenia, uczucia, zdawały się być starte na talary. Jakikolwiek mógł być przedmiot i ingrediencie wpadające leniwo w kocioł ich rozmowy, zawsze z tej mieszaniny robiła się kasza zgęszczona talarami. Ludzie oceniani na wagę talarów; życie puszczone na aukcją, licytowane, i zakończone wreszcie według miary i stosunku talarów. Rzeczą najbliższą w szacunku po talarach były śmiałe spekulacje których celem i ostatecznym końcem były talary. Im który człowiek, z okrętu swojego dobrego imienia i dobrych zamiarów więcej wyrzucił owych niepotrzebnych i bezcennych paków zowiących się honorem, sumiennością, szczerością; tym więcej pozostawało mu w magazynie wolnego miejsca na talary. Prowadzić handel.. olbrzymie kłamstwo i po-

teżna kradzież... jestto zmieniać banderę narodową w kawał bezpożytecznego łachmana; kalać ją gwiazdą po gwiazdzie i obdzierać pas po pasie jakoby z rąk zdegradowanego żołnierza. Tam gdzie ostatecznym celem i końcem wszelkiego czynu są talary, jakaż bandera będzie szanowaną!...

U tych *gentlemanów* ten był uważany za największego patriotę, kto najgłośniejsze wyprawiał hałaburdy i najmniej dbał o przyzwoitość. Ten był ich rycerzem wybranym kto dążąc brutalnie do własnych swych niecznych celów, nie mógł ośmielić się, przyłożyć piętna hańby do ich oszustw i niegodziwości. I tak, Marcin dowiedział się w przeciągu kilku minut urywkowej ich rozmowy przed piecykiem, że: brać z sobą pistolety na zgromadzenia prawodawcze, szpady w laskach i inne pokojem tchnące narzędzia; chwycić przeciwnika za gardło, jak czynićby mogły psy i szczury; hałasować, junakierować, zmuszać groźbą i wyrwać zwycięstwo przez osobiste obelgi i napastowania; byłito jedynie świetne i wielbienia godne czyny. Rzadko który chciał poświęcić osobistość na ołtarzu powszechnej swobody i wolności, lecz za to każdy gotów był zdobywać je dla siebie szturmem przez jawne napady i skryte intrygi wciskając się głębiej w domowe pożycie i prywatne stosunki obywateli, niżby tego mógł dokazać miecz najdespotyczniejszego Padyśzacha a to bez najmniejszych względów i zachowania przyzwoitości.

Pare razy gdy nastąpiła niejaką przerwą w beładnej ich rozmowie, Marcin ośmielał się zadać niektóre pytania w przedmiotach obchodzących go jako cudzoziemca jak np. o poetach narodowych, o teatrze, literaturze i sztukach pięknych. Lecz wiadomości tych *gentlemanów* nie były zbyt obszerne ani zadowalniające w tym względzie, ograniczały się one na uwielbieniach podobnych geniuszów jak pułkownik Diver, pan Jefferson Brick i innych wslawionych jak się okazało dla właściwego im szczypiącego stylu i celowania w tych napastniczych, osobistych utarczках, zuchwałych ruchach pisarzy, których u nas zowią »krzykaczami.«

»My jesteśmy ludem zatrudnionym sir« przemówił jeden z kapitanów z zachodnich prowincji, »i nie mamy czasu do czytania fatalaszek o jakie się pytasz, ani zważamy na nie kiedy je napotkamy między innymi ważniejszymi dla nas przedmiotami zupełnie innego rodzaju. Toteż je tam rzadko napotkasz, są na to osobne xiggi jeżeli je kto chce czytać.«

Tu generał który zdawał się omdlewać na samą myśl czytania czegoś co nie było ani o handlu ani o polityce, i umieszczone było gdzie indziej jak w



dziennikach, zapytał »czyliby który z *gentlemanów* nie miał ochoty wypić kieliszek dla strawności po obiedzie?« więkzszą część towarzystwa uważając tę propozycję za bardzo doradną i wyborną, wyniosła się jeden za drugim do publicznej kawiarni. Ztamtąd bezwątpienia udali się do swoich kantorów i magazynów; zkład znowu do kawiarni, aby raz jeszcze pomówić o kochanych talarach i nakarmić umysły swoje rozmową i dysputami krzykaczy; a ztamtąd każdy udawał się do domu by zachrapać słodko i bez przeszkody na łonie rodziny.

»Ciekawym wiedzieć« rzekł sam do siebie Marcin prowadząc dalej rozmowę z niezbyt wesołymi myślami, »jak też oni tam się zabawiają zgromadzeni razem.« I znowu zdawało iż słyszy rozprawy o talarach, demagogach, zręcznych spekulacjach i bursie; nie mógł sam rozstrzygnąć tego zagadnienia, czyli w istocie ludzie tej klasy byli tak zatrudnieni jak się nimi być mienili, lub czyli tylko po prostu niezdolnymi byli używania towarzyskich i domowych w gronie rodziny przyjemności.

W istocie kwestia ta była za trudną do rozstrzygnięcia zwłaszcza dla cudzoziemca; a wszystko to co bohater nasz, dotąd wokoło siebie widział i słyszał już samo przez się dostatecznym było do rozczarowania go i zniechęcenia. Ilekroć razy nie sympatyzujemy z ludźmi, mamy ochotę gniewać się na nich lub pogardzić nimi. Marcin usiadłszy tuż przy opuszczonym piecyku, spoglądał ze smutkiem przed siebie, czem raz bardziej tracąc na odwadze, a zamyśliwszy się nad niepewnością i trudnościami krytycznego położenia swego, westchnął ciężko.

Trzeba czytelnikom powiedzieć, że w pośród biesiadników znajdował się tam człowiek średniego wieku, czarnych przenikliwych oczu i ogorzałej od słońca twarzy, który zwrócił był od razu na siebie uwagę Marcina, przez pewien wyraz uczciwości i pociągającej uprzejmości rozlany w rysach i całej jego postaci. Lecz o tym *gentlemanie* nie mógł on powziąć żadnej wiadomości od sąsiadów swoich którzy zdawali się wcale nań nie zważać. Nie miał on żadnego udziału w rozmowie przy piecyku, ani też oddalił się wraz z drugimi, a teraz gdy posłyszał westchnienie Marcina po trzeci lub czwarty raz powtórzony, odezwał się z jakąś niby przypadkową uwagą, jak gdyby, nie chcąc narzucać się niedyskretnie uwadze cudzoziemca, pragnął jeżeli to być może wciągnąć go w weselszą rozmowę. Jego powody były tak widoczne, a jednak z taką delikatnością wyrażone, że Marcin uczuł się być w istocie zobowiązanym i okazał mu to w swojej odpowiedzi.

»Nie będę pytać się sir« przemówił ów *gentleman* powstawszy zbliżając się do Marcina; »jak też podobna ci się kraj nasz, gdyż mogę prawie odgadnąć prawdziwe zdanie twoje w tym względzie. Lecz ponieważ jestem Amerykaninem, a tem samem obowiązany rozpocząć rozmowę zapytaniem, ośmielam się więc zapytać jak też ci się podoba pułkownik Diver?«

»Pan jesteś tak otwartym iż nie waham się odpowiedzieć mu również otwarcie, że on mi się wcale nie podobał; chociaż wyznać muszę, jestem mu wielce zobowiązany za grzeczność jego iż mię tu sam zaprowadził... i ułożył moje interesa w tym domu pod najlepszymi warunkami jak się zdaje« dodał, przypomniałszy sobie że pułkownik poszepnął mu to do ucha na wychodnem.

»Nie tak bardzo jesteś mu zobowiązany sir« rzekł cudzoziemiec z uśmiechem. »Pułkownik często zwiedza parowe statki przybywające z pasażerami, jak słyszałem; dla zebrania żniwa z najnowszych nowin do dziennika swego, i często też przyprowadza tu lokatorów, jak sądzę, w nadziei zyskania małej indemnizacji przywiązanej zwykle do podobnej przyjacielskiej usługi; którą gospodarz domu odciąga od tygodniowego rachunku. Spodziewam się iż nie obraziłem pana?« dodał widząc mocne zarumienienie Marcina.

»Mój drogi panie,« przemówił Marcin uściskawszy podaną sobie dłoń cudzoziemca. »Jestże to rzeczą podobną! mówiąc prawdę jestem.«

»O coż idzie?« zapytał *gentleman* usiadając przy nim.

»Jestem w wielkim kłopotcie jak tu się wyrazić, chcę mówić otwarcie,« rzekł Marcin przezwyjęzając wahanie swoje, »ciekawym byłbym wiedzieć jak też ten pułkownik wywijać się może od kijów.«

»Ha, ha! był on już nie raz wybity« odrzekł *gentleman* spokojnie. »Jest on z tej klasy ludzi w których sam nasz Franklin na dziesięć lat jeszcze przed upływem ostatniego stulecia, przewidział niebezpieczeństwo i plagę naszej ojezyny. Może ci niewiadomo o tem sir, że Franklin w najsurowszych wyrazach ogłaszał w tym względzie opinią swoją mówiąc: że ci którzy zostawali spótworzani przez takich ichmościów jak ten pułkownik, nie mając dostatecznego zabezpieczenia ani w prawach krajowych ani w uczuciu przyzwoitości i prawości opinii powszechnej, byli usprawiedliwieni opierając podobne publiczne nadużycia, silnym argumentem sękwatego kija.«

»Ni wiedziałem o tem« rzekł Marcin, »lecz cieszy mię ta opinia wielkiego współziomka waszego, i sądzę ją być godną jego pamięci; szczególnież gdy...« tu znowu zatrzymał się wahając.



»Mów dalej sir« zawołał Amerykanin z uśmiechem, jak gdyby wiedział naprzód jakie słowa uwieźły w gardle naszego Marcina.

»Szczególniej gdy jestem już nieco wstanie pojąć teraz, iż nawet za czasów Franklina podobne śmiałe wyjawienie myśli w tym względzie wymagało pewnej odwagi« mówił Marcin, »gdyż« dodał ciszej, »nie była to opinia żadnego pojedynczego stronnictwa w tej krainie wolności.«

»Pewnej odwagi, niezawodnie« odparł nowy przyjaciel. »Czy mniemasz sir! że w tych czasach nie potrzebaby na to odwagi?«

»O, zdaje mi się że i nie małej, większej może niż kiedy!«

»Masz słuszość sir, wielką słuszość, tak dalece iż sądzę, że żaden satyrysta nie mógłby długo oddychać tutejszem powietrzem. Gdyby jaki drugi Juvenalis lub Szwift mógł powstać w pośród nas dzisiaj, zostałby niezawodnie zakrzywany i ścigany jako nieprzyjaciel publiczny. Jeżeli posiadasz jaką znajomość literatury naszej, i mógłbyś zacytować mi imię jakiego pisarza z urodzenia Amerykanina który rozbięrał szaleństwa nasze jako narodu nie jako stronnictwa; i uniknął zdołał najbezpieczelniejszych, najbardziej brutalskich potwarzy, najzapamietaleszej nienawiści, bez żadnej tolerancji prześladowań, będzie io imię dziwnie brzmiało w uszach moich, wierzaj mi. Mógłbym ci przytoczyć niektóre przykłady, gdzie pisarz, rodak ośmieliwszy się w najniewinniejszy i żartobliwy sposób wyświecić nasze wady i ułomności, zmuszony był ogłosić następnie, że w powtórnem wydaniu wzmiankowany ustęp będzie wymazanym lub przerobionym na pochwały.

»Jakimże to sposobem mogło dojść do tego, w kraju szczyjącym się tak wolnemi instytucjami« zapytał Marcin, czem raz bardziej zniechęcony.

»Pomyśl o tem coś słyszał i widział dnia dzisiejszego sir, począwszy od pułkownika i zapytaj sam siebie; jakim sposobem oni przyszli do tego; to znowu inna kwestia. Niechaj bóg broni aby oni mieli być próbkami inteligencji i cnoty Ameryki, lecz oni pną się na wierzech w dość znacznej masie i często też ją reprezentują. Czy nie zechcesz sir, przejść się trochę?«

Było coś tak szczerego tak wzbudzającego zaufanie w obejściu cudzoziemca, tyle męskiej wiary w samym sobie i ufności w dobrą wiarę drugiego; jakiej Marcin dotąd nigdy nie napotkał, z pośpiechem podał rękę amerykańskiemu *gentlemanowi* i wyszli razem.

Tym czasem nasz bohater tak zupełnie zapomniał o towarzyszu podróży swojej, wesołym Marku Japlej, jak gdyby podobna istota nie exystowała nigdy na bożym świecie; a choć czasem postać Marka stawała mu na myśli, odganiał ją jaką natrętną okolicznością która bezpiecznie zaczekać może na jego dobrą wolę. Lecz teraz skoro wyszedł na ulicę przypomniał sobie, iż było rzeczą podobną że pan Japlej znudził się wreszcie odbywać wartę przy kantorze Rowdy-Journal. Prosił więc swojego towarzysza aby można w tę stronę skierować najprzód przechadzkę, pragnąc czem prędzej rzucić ten interes z swej głowy a mówiąc o interesach, mówił dalej Marcin, czy mogę się zapytać, (by na później nie wystąpić z niewczesnym zagadnieniem) czy pan jesteś w tem mieście dla interesów, czy tylko jak ja, gościem przyjezdnym.

»Gościem« odrzekł *gentleman*. »Urodziłem się w prowincji Massaszuset, i zawsze tam mieszkam. Dom mój znajduje się w spokojnem obwodowem miasteczku. Nie często przybywam tu do tych zbyt zatrudnionych miejsc, a chętko do zwiedzenia ich nie zwiększa się przy bliższem poznaniu, zareczam panu.«

»Czy byłeś pan za granicą?« zapytał Marcin.

»O, tak jest.«

»I, jak to się dzieje po największej części z podróżnymi, niezawodnie powróciłeś z większym przywiązaniem do swojego rodzinnego kraju.«

»Do mojego domu, tak jest. Do mojego rodzinnego kraju jako ojczyzny, również odpowiedzieć mogę, tak jest.«

»Czynisz pan w tem niejakię ograniczenia?«

»Nie inaczej sir! Jeżeli mię zapytujesz czyli powróciłem z zagranicy z większem upodobaniem w wadach mojej ojczyzny; z większą miłością dla tych którzy mają pretensję, (w skutku tylu a tylu talarów na dzień) być jej wyłącznemi przyjacielmi; z zimniejszą obojętnością na wzrok owych zasad moralności tyczących się tak publicznych jako też i prywatnych stosunków człowieka do człowieka, których to zasad obrony, wyjąwszy w salach kryminalnych sądów, nie podjąłby się najstawniejszy z adwokatów waszych; jeżeli w tej myśli mię pytasz? wtedy odpowiem śmiało, nie!«

»Oh!« wykrzyknął Marcin; w tejże samej chwili i w takim samym tonie, jak jego towarzysz swoje »nie«; tak iż jedno słowo zdawało się być echem drugiego.

*Ciąg dalszy nastąpi.*